



Ernst Wiechert

W rodzinnych stronach

Przekład Maria Podlasek-Ziegler

PRZEDMOWA

"Jestem człowiekiem, który już od dzieciństwa pobłogosławiony i przesycony był wieloma marzeniami. Ale ze stu marzeń, które dzisiaj pojawiają się w moich snach, dziewięćdziesiąt swe domostwo ma tam, gdzie wzrastałem", – napisał Ernst Wiechert w swych młodzieńczych wspomnieniach, które ukazały się w roku 1936. Latem tego samego roku po raz ostatni odwiedził swój kraj, gdzie dorastał: mazurskie strony ojczyste. Niniejszym opisaniem tego ostatniego pobytu pozostawił nam osobiste świadectwo, które w literaturze ma niewiele równych sobie, świadectwo głębokiego przywiązania do krainy dzieciństwa i młodości, bólu rozstań. Im częściej czyta się ten opis, tym dogłębniej narzucają się pytania: co musiało zająć w Wiechercie jako człowieku, jaką miał świadomość tego, co ostateczne i bezpowrotne (musiał posiadać), jakie wątpliwości i jakie obawy towarzyszyły mu podczas tej ostatniej podróży, które skrywa w Hölderlinowskich wersach: "Weh' mir, wo nehme' ich, wenn..." Nie jest to pożegnanie w gniewie. Jest to pożegnanie w smutku, za którym stoi jutrzienka poznania, pojednania z doznanym losem. Bardziej dobitnie już humanizm nie może się wyrazić.

Domowe refugium Ernsta Wiecherta mieści się w leśniczówce Piersławek, gdzie urodził się on 17 maja 1887 roku; są to okoliczne lasy, leśniczówki Strzałowo i Lisunie, jeziora Wągiel oraz Mały i Wielki Majcz; to wieś Krutyń a dalej na południe łąsy, leśniczówki i wioski nad Jeziorem Nidzkim w Puszczy Piskiej. W tym świecie lasów wzrasta młody Wiechert, ten świat kształtuje go w sposób zasadniczy, tak iż później osadza się on prawie w całej jego twórczości. Bohaterowie jego wciąż powracają do tego świata by tam, zmęczeni cywilizacją, odnaleźć pokój serca. Albo też są to sękaci, zrosnięci z ziemią ludzie, zakorzenieni głęboko w swych mazurskich tradycjach, jak na przykład Jürgen Dorskocil. Miejsca zdarzeń położone są gdzieś w borach, nad jeziorami i bagnami.

Ernst Wiechert - W rodzinnych stronach

Nawet w powieści "Missa sine nomine", której wydarzenia rozgrywają się gdzieś w zachodnich Niemczech, można odnaleźć takie obrazy z owej krainy.

Krąg ludzi bliskich młody Wiechert opuszcza po raz pierwszy w roku 1898 w wieku lat jedenastu, gdy ojciec posyła go do Burgschule w Królewcu. On sam chciał zostać leśniczym i odczuł to z pewnością jako rodzaj wypędzenia. Ferie jednakże zawsze spędza w domu, aż do czasu, gdy ojciec w roku 1907 ulega wypadkowi i nie może już z tego powodu wykonywać zawodu leśniczego wobec czego rodzice zmuszeni są do opuszczenia leśniczówki. W roku 1905 Wiechert zdaje maturę, studiuje potem w Królewcu, a po egzaminie państwowym w roku 1911 przyjmuje posadę nauczyciela. W tym samym roku rodzice przenoszą się do nadbałtyckiego kurortu Cranz, gdzie rok później matka wybiera samobójczą śmierć. Po jej śmierci ojciec wraca do Piersławka.

Już dość wcześnie Wiechert wykazywał talent literacki. Jako dziecko pisywał wiersze, później zaś krótkie opowiadania. Jego pierwsze powieści ukazały się pod niezwykłym pseudonimem Barany Bjell: „Die Flucht” („Ucieczka”), 1916; "Der Wald" ("Las"), 1922; "Der Totenwolf" ("Wilkołak"), 1924 i inne. Nie ma potrzeby wymieniać ich tutaj, ponieważ były to powieści pełne gniewu i wewnętrznego rozdarcia, do których Wiechert potem przyznawał się niechętnie. Przeżycia wojenne i prawdopodobnie nie spełnione życie osobiste znalazły swe powieściowe odbicie w buncie. W roku 1927 Wiechert poznaje swą drugą żonę (jego pierwsza żona – Meta popełniła samobójstwo tego samego roku), życie jego zaczyna się stabilizować. W roku 1930 oboje opuszczają Królewiec, on przyjmuje posadę w Berlinie. Ukazują się: powieść "Die kleine Passion" ("Mała Pasja"), 1929; nowele "Die Flöte des Pan" ("Flet Pana"), 1930; powieść "Die Magd des Jürgen Dorskocil" ("Służąca Jürgena Dorskocila"), 1932; by wymienić tylko te najważniejsze. Tę ostatnią powieść określiłbym jako najpiękniejszą z "mazurskich".

Wiechert nie chciał służyć nowym władcom, dlatego też w roku 1933 porzucił pracę w szkole i przeniósł się do Bawarii. Pobyt w Bawarii był najbardziej twórczym okresem w jego literackiej działalności. Powstały tu znaczące dzieła: powieść "Die Majorin" ("Pani Majorowa"), 1934; "Hirtennovelle" ("Nowela Pasterska"), 1935; powieść "Wälder und Menschen" ("Lasy i ludzie"), 1936; powieść "Das einfache Leben" ("Proste życie"), 1939.

Określenie Ernsta Wiecherta jako człowieka politycznego byłoby z całą pewnością rzeczą błędną; mógł przecież podporządkować się Izbie Piśmiennictwa Rzeszy (Reichsschrifttumskammer) i nadal zajmować się Prusami Wschodnimi. Nie chciał jednak tego i w przemówieniach do studentów oskarżał szaleństwo władzy i antysemityzm. W końcu wstawił się za pastorem Niemollerem i znalazł się w roku 1938 w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Następnie otrzymał zakaz pisania i pozostawał pod nadzorem Gestapo.

Gdy wojna skończyła się, wraz z Trzecią Rzeszą w przeszłość odeszła część niemieckiej historii, a z nią świat Wiecherta. Ukazały się wtedy m. in. powieści: „Die Jerominkinder” ("Dzieci Jerominów"), 2 tomy 1945 i 1947; „Der Totenwald” ("Las Umarłych"), 1946; "Märchen" ("Baśnie"), 2 tomy 1946; "Missa sine nomine", 1950. Jednak wszystkie te dzieła napisane zostały jeszcze w czasie zakazu. W Niemczech zaczęto odwracać się od historii, sam Wiechert rozczarowany był tym, iż Niemcy niczego się z niej nie nauczyli. Wyrosło nowe pokolenie pisarzy, które patrzyło naprzód, nie oglądało się w przeszłość. Wschodnia kraina popadała coraz bardziej w zapomnienie. W tym nowym świecie nie było miejsca dla Wiecherta, nie miał on prawdopodobnie mu już nic więcej do zaoferowania. Rozczarowany i zgorzkniały wyemigrował w roku 1948 do Szwajcarii, gdzie zmarł w Rütihof pod Stäfa. Nadszedł czas ludzi bezdomnych. Tak oto biografii tej słucha się jak legendy o człowieku, który utracił swe ojczyste strony a nie znalazł nowych.

"Weh' mir, wo nehm' ich, wenn...". Jakże wielu ludzi kilka lat później podążało gorzkimi śladami Ernsta Wiecherta – na końskich wozach, na saniach, pieszo. Czyż nie odczuwali tego samego, milczący i pochyleni, nie mogąc wyrazić swego bólu? Jak wielu dotarło do opuszczonych miejsc, opuszczając także swe ojczyste strony, z tym samym odczuciem? Czy tam gdzie zawędrowali, odnaleźli swą nową ojczyznę? Co roku powtarza się to samo – mnóstwo ludzi odwiedza swą ojczyznę, by ją w krótkim czasie znowu opuścić. Jednak język niemiecki nie zna innego określenia na to jak "Heimwehtouristen" – "turystyka nostalgiczna". Ubogi język w ubogim świecie, w którym powoli wszyscy stają się turystami. Czy to niedostatek uczuciowości, nieumiejętność głębokiego żalu, czy też skrywa się za tym zawstydzenie? Wydawcom należy się za ten wybór podziękowanie. Oby tych kilka stron, wyrażających więcej niż całe tomy, choć przez chwilę towarzyszyło czytelnikowi, aby skłoniły go one do rozmyślań o sobie samym, o innych, o nas, by pozwoliły wykazać więcej zrozumienia dla nas, dla lepszego świata, w którym wszyscy znajdą swą domową ostoję.

Burkhard Ollech

Ernst Wiechert

W rodzinnych stronach

Gdy zacząłem pięćdziesiąty rok mojego życia, po raz ostatni przywołały mnie rodzinne strony. Przywołał mnie ojciec. Był zdrowy, ale wiedział, że to jego ostatnie lato i chciał mnie raz jeszcze ujrzeć. Chciał też raz jeszcze ujrzeć swój las, razem ze mną. Od trzydziestu lat chodził o kulach, od wypadku podczas polowania na dziki. Nikt go odtąd nie zabierał na przejażdżki samochodem czy saniami, i tylko ze swojego wiklinowego fotela, na stałym miejscu przy oknie, mógł spoglądać ponad polami, na wschód, tam gdzie pod wysokim nieboskłonem stał bezgłośnie zielony mur z postrzępioną linią wierzchołków. To był jego las, lecz była to tylko zamknięta furta, i nie mógł dojrzeć, co było za nią. Czasem ponad milczącymi wierzchołkami krążyła kania, spadała nagle w dół i znikwała. Czasem wysoko ponad jego oknem przelatywały pułki żurawi i dzikich gęsi. Zjawiały się nagle nad zieloną linią wierzchołków, coraz większe i większe, a ich krzyk wylatywał do przodu, przewodząc strzale ich lotu, wyprężonym ciałom, trzepocącym uderzeniom skrzydeł. Lecz przybywały one stamtąd, gdzie wszystko skrywał zielony mur, z obszaru niedostępnego już dla mojego ojca, i tylko jego oko i jego ucho mogły podążać ich śladem. Sztucer nie wisiał na ścianie jak dawniej, obrazy rozmywały się przed starymi oczami, i tylko kule z jasnego drewna stały oparte o parapet okna.

Czekał więc tak na mnie, bym raz jeszcze zawiózł go do lasu.

Młodniki, które kiedyś posadził, były już chyba wysokie. I młode drzewo urosnie w ciągu pięćdziesięciu lat, użyczy chłodu i cienia, odpłaci wysiłkiem i pracą, a sto albo tysiąc, albo wiele tysięcy drzew, to niemało w wielkim lesie, może poświadczyć, że życie nie poszło na marne, może pocieszyć i utwierdzić w tym przekonaniu. Nawet starego człowieka, który spogląda ponad ich wierzchołkami albo

podnosi ku nim wzrok. Który chce zakończyć życie i przedtem pragnie raz jeszcze sprawdzić, czy w tym wielkim lesie nie pozostało coś z jego oddechu, z dzieła jego rąk i z miłości, którą obdarzył to nieme życie.

A ja zrozumiałem z krótkiego listu z drżącymi rzędami liter, że to już czas. W naszym milczącym życiu nauczyliśmy się odczytywać to, co tylko napomknięte, a nawet przemilczane. Za słowami listu zobaczyłem jak siedział tam, na swoim miejscu przy oknie, z prawą ręką wokół uchwytów kul, z oczami – ciągle jeszcze jasnymi – utkwionymi w ową zieloną ścianę, za którą rozegrało się jego życie. Gdy byłem mały, brał mnie za rękę i prowadził do swojego lasu. Teraz, gdy się zestarzał, ma osiemdziesiąt lat i więcej, wypada chyba, żebym to ja wziął go za rękę i przeszedł z nim tymi samymi drogami, nawet gdy teraz nasze cienie inaczej już będą padały. I za miłość można zapłacić.

A więc wyruszyłem w drogę. Piękne były te krajobrazy w słońcu i pod ścianą burz. Ziarno dojrzewało, a wiatr miał smak chleba. Lecz wszystko było mi teraz obce: Bawaria czy Frankonia czy Turyński Las. Miałem uczucie, jakby ojciec cały czas siedział na swoim miejscu przy oknie i wypatrywał za mną, gdy pod pędzącymi kołami uciekała jasna droga, białe pnie brzoźowe, stare milowe kamienie. Jakby wszystko to było obczyzną, nieuniknioną przestrzenią, pomyłką życiową, która tak bardzo oddaliła mnie od niego, i jakby rzeczywistość miała się zacząć dopiero wtedy, gdy wiatr mojego dzieciństwa owieje mnie na nowo. Mijałem drogi, miasta, mosty, ale dostrzegałem je tylko niczym figury na pierwszym planie, które przesuwały się i pozostawały w tyle, a jedynym niewzruszonym celem i końcem był ów mały dom i stary człowiek, który na mnie czekał, i wielki las, który czekał na nas obydwo.

Było tak jak zawsze: nie mówiliśmy o tym, co było w nas. Lecz wiedzieliśmy wszystko, nawet bez słów. Nasza krew płynęła teraz tą samą drogą. Plany, cele, opinie, które jeszcze trzydzieści lat temu rozeszły się w różne strony, teraz znów się połączyły. Co się burzyło,

przycichło; co było ciche, nabrało mądrości. Mówiliśmy o ludziach z minionych lat, w godzinie zmierzchu, wpatrzeni w odległy las, w którym każdy wysoki pień czerwieniał w świetle wieczornym, rozżarzał się i powoli gasnął. A mój ojciec mówił od czasu do czasu: To był dobry człowiek... tak, i ten był dobrym człowiekiem... To wszystko, co chciał oznajmić u schyłku swojego życia, była to najwyższa pochwała, jaką znał ten osiemdziesięcioletni człowiek. O złych ludziach nie mówiliśmy.

Nie mówiliśmy też o lesie. To, co kochaliśmy, pomijaliśmy teraz milczeniem, tak jak milczeliśmy przez pięćdziesiąt lat. Miłość nie wymaga słów. Ale myśleliśmy o nim. Widzieliśmy go na horyzoncie, jak mienił się w słońcu owych gorących dni, jak zacieśniał się i mroczniał niebieskawo, dopóki nie wzeszły ponad nim gwiazdozbiory zodiaku, te niezmiennie, świadkowie pogodnych i bolesnych lat dziecięcych. I dopóki z jego wnętrza nie odezwały się głosy i nie dotarły przez milczące pola pod nasze otwarte okno, głosy tak bliskie, jakby były jeszcze tymi samymi, co przed laty, kiedy siedziałem na wzgórzach i zwracałem twarz do księżyca, i nie wiedziałem dokąd jestem unoszony z cichych regionów wierzchołków i spokoju. Derkacz terkotał w wypłowiałych kłosach, krzyk czapli tonął w mgłach trawy, sowa wabiła z przepastnych głębin, a my siedzieliśmy przy oknie i nasłuchiwalismy. Tak nietrwałe zdawały się drogi życia, zyski i straty, tak nietrwałym był człowiek i słowa, i tylko on trwał niezmiennie, jego chłód i potęga, i ciche głosy, które podnosiły się z pór roku: wielki las.

I ostatniego dnia wyruszyliśmy, by się z nim raz jeszcze spotkać. Musiał to być oczywiście ostatni dzień, przecież wiedzieliśmy obydwaj, że to pożegnanie. Ojciec siedział obok mnie, w głębokim fotelu, jeszcze mniejszy niż wówczas, gdy odwoził nas na stację i wracał z powrotem do domu, do lasów, które bez nas wydawały mu się puste. Co też mogło ożyć przed jego starymi oczami? Na tej drodze, która prowadziła obok stacji kolejowej do lasu. Na tej samej drodze, którą przejeżdżał setki razy. By nas zabrać do domu, a potem znowu odwiedzić. Czy odebrać mojego brata, gdy nie udało mu się pojechać

do Afryki. Albo matkę, która wyszła ze szpitala i jednak nie mogła wrócić do zdrowia. A może widział siebie samego, owego zimowego dnia, wyciągniętego na słomie w drewnianych saniach, z postrzałem w kolano, jak go wieźli do miasta okręgowego. Od tego dnia zaczął inne życie, i niejednemu zgorzkniałoby serce.

Ale nie jemu. Siedział milcząco obok mnie, patrząc na obrazy bliskie od lat, a na jego czole gościł pogodny blask, jakby to on sam znowu mnie tu sprowadził, na długie i piękne tygodnie w domu, i znowu przekazał mi lejce jak dawniej, i nie martwiło go, że lejce zastąpiła teraz czarna kierownica.

A potem przyjął nas on, wielki las, tak jak często nas przyjmował, gdy zatęskniliśmy za domem z poplątanych dróg życia. Nie zdjęliśmy teraz czapek, jak to robiłem w dzieciństwie, ale raz zaczerpnęliśmy powietrze, głęboko i drżąco, jak więźniowie. A więc jeszcze tu jest..., powiedział ojciec cicho. Cały czas czuliśmy jakby uderzenie w serce, jak w bajce, gdy czarodziejska różdżka dotyka śpiącego. Zielone światło przetykane słonecznymi belkami, zapach kapiącej żywicy, dojrzałych poziomek i oddychających igieł sosnowych. Zapach jedyny na świecie. A potem wołanie czarnego dziecięcia, daleko w świerkowych lasach, tak daleko, jakby kończyło się tam wszystko, co było nam kiedykolwiek bliskie albo tylko znajome.

A potem z wysoka cichy szum wierzchołków. Samochód stoi, nad naszymi głowami powietrze trwa w bezruchu, żadne źdźbło nie drgnie przy drodze. Lecz ponad nami, pod bielą obłoków, wije się z korony na koronę, głębokie, odwieczne brzmienie wszystkich wielkich lasów, które spoczywają zamknięte w swoim wnętrzu, bo nie znają granic, tam gdzie drzewo rozmawia z drzewem i czasami pień ociera się z nutą skargi o drugi pień, którą jednak zaraz przechwytyje wielka melodia skupiająca wszystkie dźwięki.

Znowu jest tak, jak było zawsze w naszym życiu: wstrzymujemy oddech i nasłuchujemy. Jest tak jak pierwszego dnia, a przecież naszymi śladami przeszło już tyle dni i lat. Nie pragnęliśmy niczego poza tym jednym. Mogliśmy spełnić wiele życzeń ludzi żyjących w

ciszy; zdobyć obce kraje i zaszczyty i niejedną ziemię obiecaną. Lecz my pragnęliśmy tylko jednego: pozostać milcząco na opuszczonej drodze i wsłuchiwać się w głosy idące przez las.

Znaczyło to dla mnie wiele, ale jeszcze więcej dla mojego ojca. Nie zgromadził on sumy swojego życia w jednym domu albo w jednym szczęściu albo w małym relikwiarzu. Żeby wystarczyło tylko sięgnąć ręką z kluczem, by ją mieć przed sobą. Suma jego życia leżała rozsiana na tych opuszczonych drogach, które prowadziły przez lasy, splatały się, rozsypywały i znów zbiegały się ku sobie.

Tutaj spoczywały plany i dążenia, wysiłek i praca, zyski i straty. Tutaj spoczywało jego życie i spoglądało na niego. Przez prawie sto lat, a cały świat przemknął w tym czasie jak pędząca gwiazda, coraz pewniej, coraz dumniej, coraz zuchwalej. Lecz jego życie nie chciało nadążyć za światem. Jego życie i jego las pozostały tutaj, na starym miejscu. One zachowały stare obyczaje. Z korzenia wyrastał pień, z pnia korona, i gdy nadszedł czas, wtedy korona znów pochylała się ku ziemi i powstawało nowe ogniwo w łańcuchu. Nie musiał kiwać głową nad światem u kresu swoich dni. Poziomki pachniały jak zawsze, żywica sączyła się tak samo jak w czasach jego dzieciństwa, a i pieśń jeszcze nie zamilkła. Musiał się żegnać, ale były przy tym znajome twarze, i nikt się z niego nie śmiał, gdy siedział skulony w samochodzie a zielony świat zamykał się cicho nad jego głową. Chcieliśmy pojechać szybko i daleko, aż do wielkich jezior i dalej. Chcieliśmy wchłonąć wszystko, co zgotowano dla nas pod wysokim nieboskłonem. Niczego nie pominąć i o niczym nie zapomnieć, bo przecież nic już więcej nie powróci. Wiedzieliśmy, że była to nasza ostatnia podróż.

Ale było inaczej, niż myśleliśmy. Bo już na następnym zakręcie na moim ramieniu spoczęła cicho stara dłoń z wyblakłymi żyłami. Tu była pułapka na kuny... pamiętasz? powiedział. I znowu musieliśmy się zatrzymać, gdyż tak wiele obrazów stanęło na naszej drodze, a przecież nie można przejechać nawet po obrazach. Pamiętaliśmy wszystko: jak tego ranka spadł śnieg, tak cichy i gęsty, jaki może

spaść tylko w wielkich lasach, i jak pozacierał już w połowie ślady dzikich zwierząt i nie stajał nawet na złapanej zdobyczy. Tak, chyba obydwaj ujrzeliśmy teraz piękne białe gwiazdeczki na brązowym futrze. Co znaczy nawet czterdzieści lat dla pamięci miłości? To było ciche miejsce, powiedział ojciec. Nikt tu nie przychodził... dawniej było mniej ludzi... Lecz także i dziś nie spotkaliśmy nikogo. Sarna stała w paprociach, kanie krążyły nad martwymi trzęsawiskami, a zboczami i dolinami przeciągał las. Byliśmy całkiem sami. W domu naszego życia. I mieliśmy uczucie, jakby w oddali cicho tykał zegar, i w opuszczonych oknach powiewały zielone firanki. A my stąpaliśmy ostrożnie z pomieszczenia do pomieszczenia, schodami w górę i w dół i na ścianach szukaliśmy wzrokiem starych obrazów. To był nasz dom, lecz nie wszystko stało na swoich starych miejscach i czasami oglądaliśmy się za siebie, jakbyśmy mogli tu pobłądzić. Popatrz na bojowce! - powiedział ojciec. Jak urosły... a pod nimi były takie piękne poziomki... nosiliście wszyscy czerwone kapelusze... pamiętasz?.

Tak, pamiętałem. A tam raz w nocy pojawiło się światło powiedziałem, wysoko w drzewach... pamiętasz? Zatrzymaliśmy konia i patrzyliśmy długo, dopóki nie zgasło...

Tak, pamiętał. Pamiętał wszystko. Pokazywaliśmy na starą sosnę z suchym wierzchołkiem i przypomniawszy nam się jej historia. Ujrzeliśmy dolinę z rozproszonymi modrzewiami, gdzie ustrzeliłem moją pierwszą słonkę. Wszędzie pomiędzy szarymi pniami stały obrazy pamięci i spoglądały na nas. Zapomnieliśmy, jaka to podróż. Zapomnieliśmy, że jeden z nas oczekuje na śmierć, a drugi jest w tych obszarach tylko przelotnym gościem, zadomowionym daleko stąd, w innym kraju, wypełnionym innym życiem, bogatym w miłość i plany, splecionym jeszcze nierozłącznie z bytem. Ramię w ramię wróciliśmy aż do naszego źródła. Wygasiliśmy czas, wykreśliliśmy teraźniejszość, a przyszłość czekała już na następnym zakręcie. Cicho minęliśmy dom, lecz już na następnym wzniesieniu moje ramię znowu dotknęła stara dłoń. Można było z tego miejsca ujrzeć jezioro, torfowisko i kilka szarych dachów wioski. Co za świat roztaczał się u naszych

stóp, jak wiele tam na dole w moim życiu się zaczęło! Nie było już potrzeby jechać dalej, bowiem wszystko, co ludzie nazywają stronami rodzinnymi, opasywał ten jeden krąg. Pod nami zbiegał w dół młodnik, a jego zielono-niebieska fala podrywała w górę morze lasu. Za nim rozciągała się melancholia trzęsawisk, a samotne skarłowaciałe brzozy wyglądały tak, jakby ciągle jeszcze marzły w słońcu. A i jezioro wraz z wiekiem kurczyło się coraz bardziej, za to za nim w niezmiennej przestrzeni falował niebieski rąbek wysokiego lasu, ojczyzna czapli i orłów, samotności i wielkich myśli, pierwszych wierszy i pierwszych łez. Żaden ślad życia nie przecinał ciszy i wydawało mi się tylko, że wysoko nad wodą zatacza kręgi drgający punkt. Jednak nie powiedziałem ani słowa, bo ojciec go nie dostrzegał.

Godzina mijała za godziną, a my jechaliśmy przez las. Najpierw wyszukiwaliśmy tylko te miejsca, w których stały obrazy pamięci, lecz później chcieliśmy ogarnąć "całość". Czuliśmy, że musimy wypełnić się do dna obrazami wszystkich lasów i jezior, wszystkich trzęsawisk i wszystkich bezgłośnie przeciągających chmur, całej ogromnej samotności i wszystkich zapachów i głosów, które odrywały się z osłonecznionej ziemi. Nigdy ich już bowiem nie odnajdziemy, a tyle lat musieliśmy bez nich żyć. Ujrzelśmy wysokie zasieki, które rozciągnięto wokół lasu, by zwierzyna nie szła w szkodę, więc może kiedyś to wszystko otoczą kratą i tylko z oddali będzie nam wolno zajrzeć do środka, do tej ziemi obiecanej. Żaden z nas nie wiedział, co ludziom przyjdzie jeszcze do głowy i jak potraktują Boga i ziemię i las.

Póki co na obrzeżach dróg kwitły jeszcze wysokie łośpiany, motyle przerzucały barwną grę kolorów z krzewu na krzew, krogulce krążyły ze skargą nad chudymi pniami młodych drzew, a z niebieskich dolin wiał chłodny i łagodny wiatr tak jak przed laty.

Drugie jezioro, z ciemną jak zawsze tonią, leżało pomiędzy ścianami sitowia, a na jego końcu prześwitywała łąka. Zatrzymywał się tam Trilljam¹ w żółtym płaszczu, na swym żółtym koniu. Lecz jego zły duch już dawno przeminął, zatarty sprawiedliwością czasu i pozostała po nim tylko blada mara, niknąca w promieniach słońca za dalekimi olchami albo pogrążająca się w czarnym strumieniu.

Oczyszczony został świat ze wszelkiego zła, kiedy zatrzymaliśmy się tam wśród niebieskich i białych kwiatów a powoli zachodzące słońce osnuwało nas czerwonym blaskiem. Ojciec złożył dłonie na lasce i spoglądał w dal ponad lasem i jeziorem. Nie wiedziałem, czy patrzył w czasy przeszłe, czy przyszłe. Ale pewnie zbiegły mu się one teraz w jeden wielki pierścień, w którym wszystko jest początkiem i wszystko jest końcem. Jego las urósł i jego synowie dorosli. Trochę im w tym pomógł a trochę ich zaniedbał. Ale to, co zrobił i to, co zaniedbał wziął cicho w swoje ręce los, formował, sterował i przemieniał, kierując się głębszą mądrością i głębszymi zasadami. Więc mógł on teraz spokojnie spoglądać ponad swoim osiemdziesięcioletnim życiem. Zrozumiał, że ręka ludzka jest jednym z najmniejszych narzędzi w bożym gospodarstwie.

Raz spotkaliśmy człowieka z toporem na ramieniu, który przeszedł nam przez drogę. Nie było w nim nic szczególnego, gdy tak podążał przed siebie cicho i wytrwale, prawie nie obdarzając nas wzrokiem, i gdy znowu zagłębił się w lesie. Ale my patrzyliśmy długo w ślad za nim. Był jedynym człowiekiem na naszej drodze i wszystko w nim wydawało nam się wymowne: czapka z daszkiem nad spokojną twarzą, pochylone ramiona, długi i równomierny krok ludzi, którzy zawsze wędrują samotnie przez wielkie lasy. Wydawało nam się, że szedł on w imieniu wszystkich tych, których kiedyś znaleźliśmy, nadzorców, robotników leśnych i drobnych chłopów. Tworzyli oni długi pochód, w którym postępowało wielu zmarłych. Księgi nigdy

1. Postać z dzieciństwa pisarza, właściciel tartaku, który całymi dniami jeździł po okolicy szukając kompana do picia, dlatego często spadały na niego klątwy matek i dzieci (przyp. tłumacza).

nie trafiły pod ich strzechy, słowo boże często gościło tylko na ich wargach, a z prawem z rzadka byli za pan brat. Ale my żyliśmy razem z nimi, oni dzielili naszą wielką samotność, byli naszymi pomocnikami albo wrogami. Słońce rzadko opromieniało ich święta, ich ogrody nie przynosiły róż. Lecz mieli oni swój udział w tym kraju, bo żyli tu i umierali, w lasach i jeziorach, polach i łąkach. Jak i nie mały udział w owym wielkim ogniu, który historia rozpałała nad tą milczącą ziemią.

U was oni też są tacy, tam na dole? zapytał ojciec. Nie, są inni, ale też znają swoje troski i znoje. Było nam ciężko jechać dalej. Tak ciche było to wieczorne miejsce. I tylko gajówki plotkowały na brzegu, a ostre wołanie nura wzbijało się od czasu do czasu ponad cichym światem. Za wysokim niebieskim lasem skrywało się pewnie gniazdo orlika, i gdy przymykałem oczy, było jak dawniej. Czas stawał i zaczynał powoli zawracać, szprycha za szprychą, jak u wytracającego prędkość koła, aż pod drzwi raju. A one się otwierały, i jakby – za przesłoną – raz jeszcze ukazywał się ogród Edenu, drzewo i zwierze i niewinny człowieczek, i żadna ręka nie dotknęła jeszcze drzewa poznania.

Teraz jeszcze do wielkiego jeziora, powiedział ojciec cicho. Długo spoglądaliśmy z wysoka na ciemną głębię. Na drugim brzegu, pod ścianą z sitowia, stał rybak w szarej łodzi, a tonące słońce oplatało płomienną wstęgą każdą linię jego postaci. Ostatnie chmury opromienione czerwonym blaskiem tonęły za horyzontem. Wyczuwało się już noc, wielką, bezgłośną noc. Kiedy gwiazdozbiory zodiaku powędrują z powagą od wschodu do zachodu a ich odbicia w ślad za nimi w nieporuszonej wodzie. Kiedy rosa opadnie na rośliny i drzewa i na tkaninę pajaków, rozpinających swą nić z trzciny na trzcinę. W tę noc zanurzy się ziemia i zmatowieją nasze ślady, dopóki nie przykryje ich piasek i nie zarośnie trawa.

W oddali łódka sunęła już bezgłośnie wzdłuż ściany z sitowia, a w wodzie płynęło jej odbicie, dopóki nie zniknęła w trzcinowej zatoce. Noc mogła nadchodzić. Człowiek ustąpił jej miejsca.

Uzbierałem garść poziomek, po czym jedliśmy je z ojcem. Były jeszcze ciepłe od dnia i słońca. I pojechaliśmy dalej.

A potem pobłądziliśmy, właśnie w naszym lesie. Szukaliśmy starych kamieni z rewirów myśliwskich, ale gdzieś zniknęły. Obce zasięki bieły wzdłuż traktu, i chwilę trwało, zanim znowu odnaleźliśmy drogę. Ojciec kręcił głową, i wydawało mi się, że skurczył się jeszcze bardziej.

A jednak chciał raz jeszcze zobaczyć dom, więc wjechaliśmy na dziedziniec. Brama stała otworem, nie było nikogo. Jesion wystawał wysoko ponad szczytem domu, a kwiaty pachniały w wieczornej porze. Długo patrzyliśmy na próg, zdeformowany od naszych stóp. Panowała zupełna cisza, jakby nikt już tu nie mieszkał. Tylko w świerku na skraju lasu śpiewał drozd. Ojciec odwrócił głowę i uśmiechnął się. Zapomniał o całym świecie. Pięknie śpiewa, powiedział. Nigdzie nie śpiewały tak pięknie jak tu...

Potem cicho wyjechaliśmy przez otwartą bramę.

Następnego ranka musiałem się pożegnać. Wiedzieliśmy wszystko, ale nie daliśmy niczego po sobie poznać. Ojciec i siostra ciotki Weroniki stali przy płocie. Jego twarz była taka jak zawsze, dobroduszną, z lekkim cieniem smutku, dostrzegalnym tylko dla mnie. I pomyślałem, czy los pozwoli mi kiedyś stać tak cicho i spokojnie, gdy życie mnie pożegna, i nie uzewnętrznic ani drgnienia serca, żeby innym było łatwiej. Ojciec nie czytał nigdy dzieł wielkich umysłów, którzy żądali, by w obliczu obrazów życia jak i śmierci zachować szlachetność, spokój i godność. On miał tylko swój las i trzydzieści lat samotności. I Biblię, którą zwykł czytać, dopóki jego oczy potrafiły rozpoznać litery. Głośne hasła stulecia, w którym żył, minęły go niezauważone. Traktował je jak dziwaczne majaczenie chorych dzieci. Jego las nie był głośny ani hałaśliwy, więc dlaczego ludzie mieliby być inni.

Tak prawie z niczego stworzył swoje zasady. Często schodził na bezdroża, lecz życie podarowało mu mądrość i dobrotliwy uśmiech tych, którzy spokojnie przyglądali się, jak ludzkość toczy drogami kolorowe koła. Jednak nikt z grających "nie poleciał do nieba", jak zapowiadali wcześniej; większość z nich pozostała w pyłe przydrożnych rowów, a nieliczni, którzy jeszcze w oddali toczyli się do celu, już go nie mijali kolorowo i głośno.

Niewiele pragnął w swoim życiu i nie posiadał szczytów. Ale jednego się doczekał: las i synowie wyrosli i użyczyli mu cienia. A ja raz jeszcze przybyłem, aby być przy nim i razem z nim przejechać starymi drogami. I nie chciałem być przy nim nikim innym jak tylko jego dzieckiem. Patrzył jak odjeżdżam i skinął mi głową. Wiedział, że nie może mnie zatrzymać i godził się z tym. Wiedział, że nie zobaczy mnie już nigdy więcej, mojego wizerunku zewnętrznego, i na to też przystał. Wszystko miało swój czas, a on chciał przecież wyjść poza czas, niczego nie zatrzymując ani nie zabierając ze sobą.

Potem pył drogi przesłonił jego twarz.

Wyglądało to na jakiś znak, lecz nim nie było: zaledwie dojechałem do najbliższego zakrętu, opadła mgła. Tak gęsta, że zakryła widok lasu po prawej stronie, który powinien mi być jeszcze długo towarzyszyć. Podeszła do mnie jak ściana i zielony korpus samochodu rozdzielał ją powoli jak ciężki pług. Byłem zadowolony, że zostałem teraz całkiem sam, bez obrazów i świadków, i że bardzo wolno, niejako krok za krokiem, odchodziłem z moich rodzinnych stron. Nur wołał zza mgły, lecz nie dojrzałem ani jego, ani jeziora; i tylko od czasu do czasu wyłaniało się słońce jak świetlisty, upiorny okrąg w niemożliwej do ogarnięcia dali.

Nie myślałem o niczym, bo moje serce było ciężkie. Wsłuchiwałem się w cichą pracę silnika, tak jak dziecko w smutku wsłuchuje się w tykanie zegara, i mimo woli, w morzu mgły z tego jedyne odgłosu powstały z mej pamięci wersy Hölderlina. Dawno zapomniane, i nikt nie umiałby powiedzieć, dlaczego właśnie one wydobyły się na światło z zagubionej głębi:

Biada mi, skąd wezmę kwiaty,
promień słońca i cień na ziemi,
gdy śnieg zalegnie wokoło?
Mury stoją oniemiale z zimna,
na wietrze szczękają chorągwie...²

Wtedy wreszcie napłynęły łzy do moich oczu, i było mi lżej tak odchodzić we wtórze bolesnych słów samotnego poety, które szumiały nade mną jak skrzydła, ciemne i ciężkie od smutku.

Pół roku później wynieśli mojego ojca na mały cmentarz przed domem, gdzie w piasku stoją sosny, a wzrok wybiega daleko, ponad pola i łąki aż do wielkiego lasu, z którym żegnał się wraz ze mną. Wielkie chmury moich stron ojczystych przeciągają nad tym cichym miejscem, z wysoka spada na ziemię krzyk żurawi i dzikich gęsi, i gdy wiatr wieje ze wschodu, przynosi ze sobą surowy oddech lasu. Jest to piękne miejsce dla kogoś, kto długo żył samotnie.

Napisali mi, że poddał się śmierci z jasnym blaskiem na zmęczonej twarzy. Gdyby chciał, mógłby raz jeszcze wyzdrowieć. Ale on nie chciał. Nie chciał już dłużej żyć. Nie był zgorzkniały ani życie mu nie obrzydło, lecz pragnął zupełnej ciszy. Dostał od życia co mu się należało, a i on też w niczym nie pozostał mu dłużnym. Szale wagi zatrzymały się, i to wystarczyło. Oporządził swój dom, nie zapomniał o nikim, a potem odszedł.

Gdy otrzymałem tę wiadomość był pogodny zimowy dzień, przed zmierzchem. Słońce miało właśnie zachodzić, wokoło leżało dużo śniegu. Wyszedłem przez bramę daleko w las. Teraz zrozumiałem wszystko, także jego ostatni list, wysłany wtedy przed podróżą. A więc i tego nauczył się od życia w lesie: wiedział, kiedy nadejdzie czas. Zwierzęta też to wiedziały.

2. Friedrich Hölderlin, Połowa życia, w: Wiersze w tłumaczeniu Bernarda Antochiewicza, Wrocław 1982, str. 67.

Stanąłem na skraju trzęsawiska, które wygląda jak w moich rodzinnych stronach. Ten kraj był mi obcy, ale teraz stał się jakby pomostem do świata zmarłego. Daleko na wschodzie, prawie dwieście mil stąd, rósł inny las, który teraz ujrzałem przed sobą: potężne milczenie jego zimy, zasypane drogi, szlaki dzikich zwierząt, jego nieogarnioną samotność. Ujrzałem też, jak siedzimy tam ostatni raz w słońcu i aromacie kwiatów, w braterskim uścisku jego zielonych ramion, po to by raz jeszcze, serce w serce, spotkać się z tym, który był naszym życiem.

Ojciec, dziad i pradziad, spokojni ludzie, służyli mu z pokolenia na pokolenie, za pomocą łopaty lub sztucera. Nie było w nich niczego szczególnego, niczego świetlanego albo wielkiego, lecz czyste były ich buty, kiedy ocierali je u drzwi nieba.

A teraz i on do nich dołączył. Czułem, że nie wolno mi się smucić, że muszę być z niego dumny, bo umarł tak dzielnie: cichy wzór urodzony z prostego życia, lecz przykładny także dla tych, którzy sądzą, że wzniesli się ponad prostotę do form wyższych.

Wydawało mi się tylko, że czuję ostrze, które przeszło życie. Nie jego życie lecz nasze. Teraz wraz z bratem byliśmy ostatnimi. Do tej pory zmarły ciągle jeszcze jakby trzymał źródło w swoich rękach, źródło minionego czasu, dzieciństwa i stron ojczystych, które szumiały w zieleni.

Teraz nie było już nikogo, kto trzymałby końce łuku. Młodość odeszła, na ziemi powstała luka, a my szliśmy w pierwszym szeregu.

Dopiero gdy opuściłem trzęsawiska i za sosnowym lasem ujrzałem domy odległej wioski, śnieg na dachach i zanikający czerwony blask wokół krzyża na cebulastej wieży, z mej niepamięci znowu powstały wersy, których ciężka skarga pożegnania towarzyszyła mi wówczas:

Biada mi, skąd wezmę kwiaty,
promień słońca i cień na ziemi,
gdy śnieg zalegnie wokoło?
Mury stoją oniemiałe z zimna,
na wietrze szczękają choraągwie...

Lecz czułem, że teraz mógłbym wypowiedzieć je bez bólu, bo ich przeistoczenie dobiegało końca, ostatnie przeistoczenie, a i mnie też jakby lekko dotknęła jego zimna i poważna dłoń, naznaczona jeszcze nauką i przykładem zmarłego.

Od tego czasu nie chcę już tam wracać, do wielkiego lasu. Przechowuję w sobie jego obraz, każdą linię, każdy kolor, każdy zapach, a czasami przychodzi on do mnie we śnie. Wtedy jego doliny są jeszcze ciemniejsze, jego pnie jeszcze potężniejsze, jeszcze bardziej ujmująca pieśń jego wierzchołków. A czasami w półmroku snów przez rozwichrzoną trawę cicho podąża przed siebie człowiek, z pochylonymi ramionami i długim, równomiernym krokiem tych, którzy zawsze samotnie wędrują przez wielkie lasy. Ledwo dotyka mnie wzrokiem, a ja długo spoglądam w ślad za nim. Znam go, lecz jest mi on obcy. Wołam, lecz on mnie nie słyszy. Chcę wypowiedzieć jego imię, lecz me usta są nieme.

Na zboczach pod starymi dębami za domem zasadziliśmy mały las. Spalił go gorący wiatr ostatniego roku, lecz posadziliśmy drzewa na nowo. I mimo że nie osłoni nas już swym cieniem, choć w małej części chciałbym robić to, co robili moi przodkowie.

Zbudowaliśmy staw z sitowiem i liliami wodnymi i tam będziemy hodować ryby mojego dzieciństwa. A każdego lata, gdy będziemy wracać z pomorskich dóbr, przywieziemy w samochodzie worek piasku. Tutaj nie ma piasku, a czasami dobrze siedzieć tak bez zajęcia i przesypywać go przez palce, jak przed laty, kiedy wieczorną porą siedziałem na skraju lasu i spoglądałem ku płonącym bramom niebios.

Pierścień zamyka się i na spotkanie cicho wychodzi nam początek. Sprzątnięto już siano, mówi kaznodzieja Salomon, i znów urosła trawa, i zioła zbierają na wzgórzach³.

3. Parafraza na podstawie Biblii: Księga Przypowieści 27, 25-26; Otworzyły się łąki i ukazały się trawy zielone, i zebrano siano z gór, w: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Kraków 1962.